

Zdzisław M. Rurarz
[Niewydane pamiętniki]

ROZDZIAŁ VII

30 listopada 2005 r.

Niemal 3-miesięczna przerwa, dzieląca niniejszy rozdział od poprzedniego, pomimo wielu wydarzeń godnych odnotowania, ze względu kłopotów zdrowotnych powinna być zrozumiała.

Wydarzenia, które w międzyczasie przepuściłem, to wybory w Niemczech, a nade wszystko w Polsce, zarówno do Zgromadzenia Narodowego jak i prezydenckie. Ich przebieg i rezultaty komentowałem w polonijnym radio każdego czwartku, ale do sprawy ich powrócę jeszcze w innym miejscu.

W międzyczasie doszła do nas wieść o śmierci jednego z naszych amerykańskich przyjaciół, o którym warto wspomnieć. Nikogo bowiem z Amerykanów tak długo nie znałem jak Josepha C. Noone'a. Poznałem go latem 1964 r., kiedy byłem Attaché Handlowym w Waszyngtonie. Okazją do tego były przenosiny Biura Radcy Ekonomicznego, w którym pracowałem, z Connecticut Avenue, w dzielnicy North West, do o wiele okazalszego budynku położonego w znacznie lepszym miejscu przy Tracy Place w tejże dzielnicy. Wolno stojący budynek willowy był własnością dr. Richmonda, dentysty, ale wszystkie formalności związane z zamianą Biura załatwiałem z Joe Noonem, jakoby pełnomocnikiem dr. Richmonda. Ale, jak po latach dowiedziałem się od Joe (co zresztą zawsze podejrzewałem), był funkcjonariuszem FBI. FBI bowiem, niezależnie od szeregu innych zadań, jest nade wszystko kontrwywiadem, a w okresie „zimnej wojny” szczególnie miało na oku ludzi ze Wschodu, czuli i mnie.

Joe, starszy ode mnie o pięć lat, irlandzkiego pochodzenia i tryskający energią, był w stosunku do mnie niezwykle przyjazny i już wtedy zawiązała się między nami coś jakby więź przyjaźni. Kontakt nasz jednak urwał się po przeprowadzce Biura, ale, jak okazało się, nie na zawsze. Joe, zarliwy katolik, 23 grudnia 1981 r., ubierając choinkę w swoim domku w Arlington, pod Waszyngtonem, słuchał jednocześnie wiadomości telewizyjnych. I oto - jak potem wielokrotnie powtarzał - usłyszał w telewizji najpierw moje nazwisko, a za chwilę zobaczył jakąś scenę podawaną z Tokio, na której rozpoznał moją osobę. Telewizja podawała, że

ambasador polski w Tokio poprosił USA o azyl polityczny i wraz z rodziną przed chwilą opuścił Japonię. Z wrażenia - jak mówił - omal nie spadł z drabinki! Wiedząc, że jestem już w USA, napisał do mnie list via Departament Stanu, prosząc o spotkanie. Chętnie to uczyniłem i odtąd utrzymywaliśmy już stały kontakt, bywając nawzajem u siebie w domu. Joe, o czym nigdy przedtem nie wspomniał, był rozwiedziony i żył z młodszą od siebie pracownicą ambasady francuskiej w Waszyngtonie.

W styczniu tego roku, jak stało się to już tradycją, byliśmy u Noonów na świąteczno-noworocznej kolacji, wysłuchując po raz któryś historii o jego wspomnianym powyżej „choinkowym przeżyciu” z grudnia 1981 r. Na początku kwietnia zaś Noonów gościliśmy u siebie. Joe wyglądał nie najlepiej, ale na swoje 80 lat nie czynił wrażenia chorego czy niedołęznego. Potem, co było zresztą w zwyczaju, kontakt nasz uległ „zamrożeniu”, ale na jesieni postanowiliśmy poprosić ich do nas. Zadzwoiłem więc do Joe, zapraszając ich do nas.

I oto co w odpowiedzi od niego usłyszałem:

- Dear Doctor - jak mnie zawsze tytułował - chętnie bym przyszedł na przyjęcie, ale od paru miesięcy walczę z rakiem i straciłem już ponad połowę wagi. Wyglądam jak szkielet!

Zdębiałem, gdyż dotąd nic o jego kłopotach zdrowotnych Joe, a przeciwnie wiele słyszeliśmy o jego codziennym joggingu. A tu raptem taka wiadomość!

Od tego czasu byłem już w stałym kontakcie telefonicznym z Joe, który miał przejść jeszcze jakieś szczegółowe badania i poinformować mnie o ich wyniku. Ale zanim to uczynił, ja do niego zatelefonowałem i oto co znowu usłyszałem:

- In six months I'll be out! (Za sześć miesięcy już będzie po mnie). Doktorzy uznali, że żadne leczenie nic mi już nie pomoże i że moja wątroba jest niemal całkiem martwa.

Joe wypowiadał te słowa bez paniki w głosie, a głos jego brzmiał jak zawsze czysto i wyraźnie. Nie wiedziałem co mu odpowiedzieć. Miałem już na końcu języka powiedzieć mu, że powinien być szczęśliwy, że odchodzi teraz, a nie w wieku dziewiętnastu lat, kiedy jako ochotnik popłynął do Europy wojować, ale słowa takie uznałem za niewłaściwe. Pocieszałem go więc tylko, sam w swoje słowa nie wierząc, że człowiek do końca powinien mieć nadzieję, że jakoś wykaraska się z przeciwności losu. Przyrzekłem mu też, że za parę dni znów do niego

zadzwonię, nie wspominając nic o moich kłopotach zdrowotnych.

Tak też stało się i kiedy do Joe zadzwoniłem, to tak mi odpowiedział:

- Nie mam wątpliwości, że życie moje kończy się i nawet zacząłem już załatwiać formalności pogrzebowe... Doctor, bardzo proszę o wygłoszenie eulogii nad moją trumną...

Niestety, Joe zmarł nie w ciągu sześciu najbliższych miesięcy, ale już po kilkunastu dniach, 10 listopada. Tak szybkiego jego zgonu nie spodziewaliśmy się (jak potem wykazała sekcja zwłok główną przyczyną zgonu był rak trzustki).

Będąc więc w nie najlepszych nastrojach, postanowiliśmy wraz z Ewą rozerwać się nieco i pojechać do Filadelfii, żeby spotkać się z Liwią. Spotkanie było jak zawsze bardzo dla nas miłe, ale za to dom i jej pokój, a zwłaszcza widoki z jego okien, zrobiły na nas przygnębiające wrażenie. Ot, po prostu rudera i to jeszcze za bardzo słone pieniądze. Dobrze, że od nowego roku Liwia będzie mieszkać w innym miejscu. Po niezbyt udanym obiedzie w restauracji „Cuba Libre” powróciliśmy już autobusem do pokoju Liwii, a wkrótce potem ruszyliśmy w drogę powrotną do Restonu, pełną zresztą przygód ze względu na korki na drodze, ale i tak udało nam się bocznymi drogami wyplątać z opresji.

Po powrocie do domu wpadliśmy już od następnego dnia w tryby codzienności, choć tym razem jakżeż różnej od dotychczasowej.

Zaczęliśmy od udziału w uroczystościach pogrzebowych Joe, które odbyły się 16 listopada na cmentarzu wojskowym Quantico, pod Waszyngtonem w stanie Wirginia, na którym poznaliśmy jego licznie przybyłą i dotąd nieznaną nam, nawet z jego opowieści, rodzinę. Uroczystości pogrzebowe były skromne i po tym jak kapelan wojskowy skończył swoje modły, poproszono mnie o wygłoszenie eulogii, co uczyniłem ku powszechnemu uznaniu obecnych. I jak to jest tutaj w zwyczaju na cmentarzach wojskowych, na tym był koniec uroczystości pogrzebowych. Nie sprawiły one mnie i Niuni w najlepszy nastrój.

13 grudnia 2005 r.

Dzień 13 grudnia kojarzy się nam, Niuni i mnie przede wszystkim z dwudziestą czwartą rocznicą wprowadzenia w Polsce stanu wojennego, w wyniku, którego opuściliśmy z Niunią rodzimy kraj, już chyba na zawsze...

Stan wojenny, mimo upływu czasu, wywołuje u mnie ciągle żywe i najrozmaitsze refleksje i nie tylko przy okazji jego kolejnych rocznic. Dziś na przykład, oglądając warszawskie telewizyjne *Wiadomości* i widząc szereg migawek z tamtego 13 grudnia sprzed 24 lat, miałem bardzo mieszane uczucia. Zwłaszcza kiedy dowiaduję się, że prawie 60 procent Polaków... nie zna dokładnej daty, a nawet roku, wprowadzenia stanu wojennego! Z internetowej prasy krajowej dowiaduję się też, że niemal połowa Polaków stan wojenny uważa za słuszną, albo nawet bardzo słuszną decyzję władz PRL. Druga połowa ma co do tego wątpliwości, ale tylko co szósty Polak uważa, że był on zdecydowanie niepotrzebny!

Jeśli tak, to mój w tej sytuacji krok sprzed prawie ćwierćwiecza jawi się jako wyglup! Komu i do czego krok ten był potrzebny? I tak, myślami poszybowałem do tamtego dnia sprzed dwudziestu czterech lat.

Ze względu na dziewięciogodzinną różnicę w czasie pomiędzy Warszawą a Tokio, gdzie od lutego 1981 r. pełniłem funkcję Ambasadora PRL, to o fakcie coś jakby wprowadzenia w kraju stanu wojennego dowiedziałem się dopiero około godziny 11:00 czasu lokalnego. Wychodziłem akurat z rezydencji wraz z Niunią i Ewą, która 16 września przyleciała do nas z Genewy, na przedpołudniową niedzielną przejażdżkę, połączoną ze spacerem. Pełniący w tym dniu dyżur przy telefonach ambasady Janusz Omietiański, II Sekretarz, a faktycznie rezydent MSW, poinformował mnie, że połączenie telefoniczne z Warszawą zostało nagle przerwane. Dodał też, że pierwsze doniesienia radiowo-telewizyjne mówią o jakichś nadzwyczajnych wydarzeniach w Polsce. W swojej rezydencji, słuchając amerykańskiej stacji radiowej dla sił zbrojnych USA na Dalekim Wschodzie, o niczym takim nie słyszałem, ale ponieważ dochodziły do mnie słuchy już od co najmniej 2-3 tygodni, że w Polsce może być lada dzień wprowadzony „stan wojenny”, więc możliwości takiej nie wykluczałem. Nie mając jednak pewności, czy tak naprawdę było, z zaplanowanej przejażdżki i spaceru nie zrezygnowałem. Wraz z Niunią i Ewą pojechaliśmy więc moim służbowym samochodem bez kierowcy zobaczyć jeden z rekomendowanych nam zabytków Tokio. Długo tam jednak nie zabawiliśmy, gdyż coś ciągnęło mnie z powrotem do ambasady, a kiedy tam zjawiłem się poinformowano mnie, że istotnie w Polsce obowiązywał od północy „stan wojenny”. Oficjalnie ogłosił go w wystąpieniu

telewizyjno-radiowym gen. Wojciech Jaruzelski, wówczas I Sekretarz KC PZPR, premier, minister obrony narodowej, a od tej chwili także przewodniczący Wojtkowej Rady Ocalenia Narodowego w jednej osobie. W swoim wystąpieniu o 6:00 rano czasu warszawskiego poinformował on naród o podjętej przez WRON i zatwierdzonej przez Radę Państwa decyzji. Łączność z Warszawą była jednak nadal przerywana i wszystko co wiedziałem o „stanie wojennym” pochodziło z doniesień obcych agencji informacyjnych. Mówiły one o wprowadzeniu w Polsce godziny policyjnej, ograniczeniu ruchu ludności, masowych aresztowaniach i innych nadzwyczajnych rygorach. Nie mówiono tylko na razie nic o ofiarach śmiertelnych, tak jak o próbach oporu ze strony *Solidarności*.

A więc stało się. Po raz pierwszy o możliwości wprowadzenia „stanu wojennego” dowiedziałem się 28 marca 1981 r. ze skierowanej do mnie depeszy ministra spraw zagranicznych Józefa Czyrka (dziś już wiem, że możliwość taką wstępnie rozważano jeszcze latem 1980 r. i że 29 sierpnia tegoż roku przeciwny stanowi był jakoby ...gen. Jaruzelski!). W depeszy, w związku z tzw. kryzysem bydgoskim, Czyrek informował mnie, że jeśli dojdzie do zapowiedzianego na 31 marca przez *Solidarność* strajku generalnego, to w kraju wprowadzony będzie „stan wojenny”. Depesza instruowała mnie również jakie kroki powinny być podjęte w ambasadzie na wypadek jego ogłoszenia.

Wiadomość o możliwości wprowadzenia stanu wojennego wywarła na mnie przynębiające wrażenie. Dodatkowo dlatego, że wiedziałem o trwających w Polsce od 16 marca wspólnych polsko-radzieckich manewrach *Sojuz 81*, które jakoś dziwnie nie mogły dobiec końca. Wiedziałem też, że w związku z konfliktem bydgoskim, 27 marca odbył się 4-godzinny masowy strajk ostrzegawczy w kraju. Należało więc przypuszczać, że podobnie masowym i długotrwałym będzie zapowiadany przez *Solidarność* strajk generalny.

W tej dość niecodziennej sytuacji, natychmiast po otrzymaniu depeszy Czyrka i po dyskusji z Niunią, zadzwoniłem ze swojej rezydencji, mieszczącej się w obrębie ambasady, do Ewy do Genewy. Poinformowałem Ewę, dobierając odpowiednio słowa, żeby w razie „jakichś wydarzeń” nie wychodziła z domu. W podtekście chodziło mi o uprzedzenie jej przed odwiedzaniem Stałej Misji PRL przy Europejskim Biurze ONZ w Genewie. Nie chodziła tam

zresztą, ale mogła być tam wezwana. Chciałem jej też dać do zrozumienia, że w razie ogłoszenia w kraju „stanu wojennego” mogę zdobyć się na jakiś dramatyczny krok. Byłem już wtedy prawie zdecydowany zerwać z PRL, ale wyraźnie nie powiedziałem tego Ewie, licząc się z faktem przechwycenia mojej rozmowy przez radzieckie nasłuchy i podsłuchy.

Jak wiadomo, do stanu wojennego w marcu nie doszło, ale też Warszawa *nigdy* nie odwołała wprowadzonego depeszą Czyrka pół-alarmowego stanu pogotowia w ambasadzie.

Sprawą „stanu wojennego” żyłem więc od końca marca już cały czas i gdy zjawiłem się służbowo w Warszawie w połowie czerwca - pytałem na prawo i lewo czy kiedyś należy się go spodziewać. Za każdym razem pytania moje zbywano milczeniem bądź odpowiadano mi wymijająco. W efekcie tego, opuszczając kraj 3 lipca 1981 r. i udając się w drogę powrotną do Japonii, nie wiedziałem, jak z tym w końcu będzie. Od listopada jednakże, zaczęły docierać do mnie do Tokio wieści z Warszawy, że „stan wojenny” może być wprowadzony lada dzień. Wprowadzenie go, zwłaszcza jeśli pociągnąłby on za sobą rozlew krwi, oznaczało dla mnie zerwanie z PRL.

Odpowiedź na pytanie dlaczego podjąłem taką decyzję, zwłaszcza teraz, kiedy wywołane stanem wojennym emocje dawno mnie już opuściły, a o jego tle, przebiegu i późniejszych skutkach wiem już wiele więcej niż przed ćwierćwieczem, choć nadal nie wszystko, ciągle jest dla mnie niezwykle trudne.

Zamiar zerwania z PRL dojrzywał u mnie bardzo długo. I jest wysoce możliwe, że pod nieobecność jakichś dramatycznych wydarzeń, do takiego zerwania nie doszłoby nigdy. PRL, choć daleka od tego jak chciałem widzieć swoją Ojczyznę, była dla mnie mimo wszystko Polską. Świat znałem już wtedy całkiem nieźle, Zachód zwłaszcza, gdzie wielu Polaków na różne sposoby szukało stałego osiedlenia. Dla mnie jednak, taka zamiana jednego życia na drugie nie była życiową koniecznością, a jeśli już, to musiałyby mieć głębsze uzasadnienie.

Teraz chciałbym jednak podzielić się inną refleksją, która już od lat nie daje mi spokoju.

Chodzi o olbrzymi niesmak, a nawet wstyd, że Polacy po obu stronach barykady w tej przedziwnej wojnie polsko-polskiej, jaką był stan wojenny, nie tylko bezmyślnie dali się w nią zaplątać, ale jeszcze *nie chcą* znać o niej prawdy! Uczepili się, z uporem godnym lepszej

sprawy, różnych mitów i ani myślą się ich wyzbyć. Godną pożałowania rolę w uwiecznianiu tych mitów odgrywają, niestety, także niektórzy historycy. Do nich należy głównie prof. Andrzej Paczkowski, który w wydanej w 2002 r. w Krakowie 329-stronicowej książce pt. *Droga do mniejszego zła*, dowodzi, na podstawie jakoby materiałów źródłowych, że stan wojenny był dla Polaków *zbawieniem* w porównaniu do możliwości zbrojnej interwencji radzieckiej! Tak - przyznaje on - dostępu do archiwów radzieckich nie miał, ale wierzy, iż alternatywą wobec stanu wojennego była właśnie radziecka interwencja i to pomimo, iż przywódcy radzieccy, a dziś rosyjscy, jej zaprzeczają!

Komu więc wierzyć?

Ale co tam Paczkowski i jemu podobni! Ci, którzy w PRL odegrali czołową rolę w przygotowaniu i przeprowadzeniu stanu wojennego, nawet jeśli jego pomysł nie od nich wyszedł, nadal bezczelnie kłamią lub milczą. I nikt im tego nawet nie wytyka, ani tym bardziej pociąga do odpowiedzialności. W USA z kolei, dokąd zapędził mnie stan wojenny, mało kto już o nim pamięta, nawet w kręgach polonijnych, nie mówiąc już o tym, że i one mają bardzo zróżnicowaną jego ocenę.

Co do mnie, to choć jestem wysoce zmartwiony tym obrotem rzeczy, to równocześnie jestem już tak zrezygnowany, że ostatnio nie zabieram głosu na temat stanu wojennego, ani w kręgach polonijnych (gdyż do kraju ze swoimi poglądami na jakikolwiek temat mam wielce utrudnione dotarcie), ani tym bardziej amerykańskich. Dlatego też, kiedy w grudniu 2001 r., w dwudziestą rocznicę wydarzenia, zorganizowano w Woodrow Wilson International Center w Waszyngtonie odczyt i dyskusję o stanie wojennym w Polsce, to nawet mnie o tym nie powiadomiono, choć o różnych jego imprezach zawsze byłem zawiadamiany. Inna rzecz, że od paru lat nie uczęszczam na organizowane imprezy, gdyż irytują mnie referenci i dyskutanci, na ogół mijający się z prawdą historyczną. I tak, „rocznicowym referentem” był znany mi tylko ze słyszenia prof. Mark Kramer z Harvardu, nie znający nawet polskiego tzw. kremlinolog amerykański żydowskiego pochodzenia. Jak dowiedziałem się później, naopowiadał on zebrany mnóstwo bzdur na temat tła i przebiegu stanu wojennego. Może więc lepiej, że mnie tam nie było, gdyż prostowanie już utartych poglądów nudzi mnie, a ponadto nie chcę nikogo

wyprowadzać z błędu. Jeśli ktoś chce wierzyć, że Jaruzelski uratował Polskę przed radziecką interwencją zbrojną, że Wałęsa ze swoją *Solidarnością* wspólnie z Janem Pawełem II obalili komunizm, niszcząc przy okazji ZSRR, jego twierdzą, to niech wierzy! Może to i dobrze, że ktoś przypisuje Polakom bohaterskie czyny, których jakoby dokonali. Po co takich wyprowadzać z błędu? Nie warto!

Dziś zresztą, nie tak jak dawniej, moje poglądy na temat wydarzeń lat 1980-1981, których publicznie jeszcze nigdzie nie wypowiedziałem, uległy tak radykalnej rewizji w międzyczasie, że aż nie wiem, czy powinienem o tym mówić. Choć z drugiej strony zachowanie swoich refleksji tylko dla siebie byłoby tchórzostwem z mojej strony. Zbyt wielką bowiem cenę zapłaciłem za swoją decyzję, żeby teraz machnąć z rezygnacją ręką na to, co kiedyś (dziś także) uważałem za swój obowiązek patriotyczny, czy choćby tylko głos sumienia. Wreszcie, widząc co się w dzisiejszej Polsce i wokół niej dzieje, jak też mając już względnie rozległą wiedzę o tym, co się na to złożyło na obecny stan rzeczy, nie powinienem milczeć! Ponadto i dlatego też, że jestem *jedynym* Polakiem, któremu żadna ze „świecznikowych stron” nie chce wybaczyć jego decyzji w odpowiedzi na stan wojenny. Do nich należą zarówno ludzie dawnej władzy czy wielu szeregowych b. pezetperowców, albo nawet ci wszyscy ongiś bezpartyjni, którzy wspominają z nostalgią PRL, a zwłaszcza okres Gierka. Pozostali, prawdziwi i nieprawdziwi dawni opozycjoniści, uważają mnie z kolei za szczura uciekającego z tonącego okrętu. Wreszcie, wielu innych Polaków nic po prostu o mnie nie wie. Tylko nieliczni, czego często miałem tego dowody, byli mi wdzięczni za dokonany krok.

Co zatem myślę o stanie wojennym?

Przede wszystkim, że *można* było go uniknąć.

Prawda, PRL, choć była niewątpliwie Państwem Polskim, była państwem *nienormalnym* i o tym Polacy wiedzieli, zarówno ci przychylni mu jak i nieprzychylni. Wszyscy wyczuwali jego sztuczność, a nawet tymczasowość, choć nikt nie wiedział, *kiedy i jak* istniejący stan rzeczy ulegnie zmianie. Na ogół jednak *nikt* tego nienormalnego państwa, pomijając pierwsze lata powojenne, nie chciał siłą obalać, ani potem nawet kartką wyborczą. Najwyżej chciano poprawiać jego funkcjonowanie. Jedynie bardzo nieliczni (takich też spotykałem) upatrywali

przyszłość Polski we wtopieniu się we „wspólnotę socjalistyczną”, zdominowaną przez ZSRR.

Było też jednocześnie prawdą, że nawet kierownictwo PPR/PZPR, a tym samym Państwa Polskiego, szukało poszerzenia marginesu swobody swojego działania. Niekoniecznie pełnej suwerenności, gdyż było to w istniejących realiach niemożliwe, ale mimo wszystko marginesu takiego poszukiwano. Zwłaszcza że formalnie, prawo do tego dawał status państwa w pełni suwerennego. Po śmierci Stalina zaś, nawet sam ZSRR głosił, że jego stosunki z tzw. bratnimi krajami będą w pełni partnerskie, a *nie* podporządkowania. W polskiej sytuacji przejawiało się to w próbach wybijania się na samodzielność już za krótkotrwałych rządów Edwarda Ochaba, potem na większą skalę za „drugiego Władysława Gomułki”, a nade wszystko Edwarda Gierka.

Stąd też, przyjmując jego propozycję 1 września 1971 r., żebym został jego doradcą ekonomicznym, na stworzonym specjalnie do tego celu stanowisku, miałem szczerą chęć pomóc mu w tym dziele.

Wkrótce jednak przekonałem się, że było to niemożliwe. Moskwa była bowiem zbyt czujna, a jej widzialna i niewidzialna ręka sięgała wszędzie. No i jeśli coś szło nie po jej myśli, to znajdowała sposoby obrony swoich interesów i dominacji. Poza tym, kierownictwo PZPR i rządu było tak przez nią ustawiane i manipulowane, że nawet geniusz, do których Gierek nie należał, nie byłby w stanie zmylić jej czujności. Najbliżsi jego współpracownicy, głównie ci w Biurze Politycznym, byli tak chytrze przez Moskwę ustawieni, iż każdy z nich mógł w każdej chwili go zastąpić. Ten stan rzeczy *uniemożliwiał* stworzenie monolitycznego kierownictwa, które reprezentowałoby jednolity front wobec „towarzyszy radzieckich”. Gierek poza tym, nawet ze względów charakterologicznych, nie był zdolny do stworzenia kręgu oddanych mu bez reszty ludzi. Jego polityka kadrowa, jeśli takową w ogóle miał¹, była w efekcie tego fatalna i dopiero po swoim upadku przekonał się jak bardzo zawiódł się na ludziach, których obdarzał zaufaniem. Pod jego boki, a często w wyniku jego nieprzemyślanych decyzji kadrowych w Biurze Politycznym i Sekretariacie KC, Gierek stał się pod koniec swojego szefowania partią

¹ Za dowód tego niech posłuży fakt, że już na początku mojego doradztwa u Gierka zapytał mnie... czy nie słyszałem kto i czym ma w rządzie zostać! Odpowiedziałem, iż „mówi się”, że nowym ministrem handlu zagranicznego ma zostać Kazimierz Olszewski. Gierek wówczas wykrzyknął, że gwarantuje, iż do tego *niгда* nie dojdzie! Wkrótce jednak K. Olszewski został tymże ministrem, a potem nawet wicepremierem.

całkowicie osamotniony. Wokół niego wytworzyły się różne koterie, co Moskwa nie tylko zręcznie wykorzystywała, ale nade wszystko misternie tworzyła. A ponieważ coraz bardziej miała go dość za jego prozachodnie sympatie, z którymi niewyrobiony dyplomatycznie Gierek niepotrzebnie obnosił się, więc pod koniec lat 1970-ch los jego wydawał się przypieczętowany (w moim przekonaniu już wcześniej, co było powodem mojej rezygnacji z doradztwa²).

Z drugiej strony, Moskwa, z wielu powodów, miała coraz większe trudności w utrzymywaniu tzw. wspólnoty socjalistycznej, a zwłaszcza Polski, kraju w niej największego. Trudności te dotyczyły głównie zaopatrywania wspólnoty w paliwa i surowce, jak też wyduszania z niej wyrobów przemysłowych na światowym poziomie. Chcąc nie chcąc, musiała godzić się nie tylko na ich coraz większe zaangażowanie w handel z niewspólnotowymi krajami, ale nawet na branie od nich coraz to większych kredytów (sam ZSRR też zresztą je brał i to na coraz większą skalę). Gierek, który nie rozumiał zawiłości międzynarodowych stosunków gospodarczych, słuchając jeszcze nierozsądnych rad z kręgów rządowych, korzystał z tej możliwości. Tym bardziej, że początkowe skutki otwarcia na Zachód wydawały mu się zbawienne. Gospodarka zaczęła bowiem przyśpieszać, a w rezultacie tego kraj wydawał się istotnie „rosnąć w siłę”, a ludziom zaczęło się „żyć dostatnio”. Tak w to uwierzył, że po niewątpliwych, choć już częściowo kupionych za obce pieniądze sukcesach w pierwszej połowie dekady lat 1970-ch, na drugą wyszedł z hasłem „budowy drugiej Polski”, święcie wierząc, że ją zbuduje. Sam mi nawet o tym mówił, kiedy w kwietniu 1975 r. przyjął mnie na audiencji. Moich wątpliwości co do tego nie chciał nawet słuchać.

A tymczasem sprawy zaczęły już wtedy iść jak najgorzej. Roczne tempo rozwoju, które w latach 1972-1974 przekraczało nawet 10 procent, już od 1975 r. zaczęło się załamywać, aby w 1979 r. zamienić się w 2,3-procentowy spadek dochodu narodowego, pierwszy tak dotkliwy w okresie powojennym i to pomimo wzrostu zadłużenia w długoterminowym kredycie, głównie wolnodewizowym z 1,2 mld dol. w 1971 r. do 20,5 mld dol. w 1979 r. Na domiar złego, nastąpił

² O moim doradztwie u Gierka, trwającym od września 1971 r. do końca grudnia 1972 r., nie rozpisuję się, gdyż na ten temat napisałem książkę *Byłem doradcą Gierka* (jej pierwsze, polonijne wydanie, ukazało się w 1986 r., a drugie i nieco zmienione krajowe wydanie ukazało się w 1990 r.

też spadek tempa produkcji rolnej, a rosące trudności płatnicze zaczęły uderzać w import dla produkcji bieżącej będący coraz bardziej o charakterze zaopatrzeniowym. Prawda, koniunktura światowa po IV wojnie izraelsko-arabskiej w październiku 1973 r. i wynikłej eksplozji cen ropy naftowej nie sprzyjała korzystaniu z powstałej szansy popchnięcia rozwoju Polski poprzez głębszą współpracę gospodarczą z krajami spoza RWPG, ale nie to było tutaj głównym problemem. Był nim przede wszystkim rosnący *chaos* w zarządzaniu państwem i gospodarką, który Gierek bezmyślnie uruchomił. Jan Szydłak, Sekretarz Ekonomiczny, tupeciarz i człowiek bez żadnej wiedzy ekonomicznej, stojąc na czele ponad 100-osobowej komisji, miał opracować koncepcję reform gospodarczych. Gierek, kiedy zostałem jego doradcą, wyraźnie nie życzył sobie, żebym zainteresował się pracami Komisji Szydłaka. Tym niemniej, odbyłem rozmowę z Szydłakiem, z której wywnioskowałem, że widzi on zbawienie Polski w tzw. WOG-ach, czyli Wielkich Organizacjach Gospodarczych. W bliższą dyskusję na ich temat Szydłak nie chciał jednak wchodzić. Bardziej zasadniczą dyskusję na temat WOG-ów odbyłem z prof. Józefem Pajestką, wówczas jednym z dziewięciu wiceprzewodniczących Komisji Planowania. Pajestka powiedział mi, że nie jest mu znany system finansowy przyszłych WOG-ów, gdyż nie jest to jego domena. WOG-i zatem stworzono w 1974 r. (po moim odejściu z doradztwa u Gierka w końcu 1972 r.), a ich pojawienie się wniosło *niecodzienne* zamieszanie do funkcjonowania gospodarki. System centralnego planowania i zarządzania popadł w kompletny bałagan ze względu na dużą samodzielność WOG-ów, faktycznych monopolistów w produkcji, którzy robili co chcieli. W połączeniu z bezmyślną i kosztowną reformą administracji terenowej w 1974 r., polegającej na likwidacji powiatów i niemal potrojeniu ilości województw, z których większość długo nie mogła rozpocząć normalnego funkcjonowania, bałagan w państwie *niepomiernie* wzrósł. A dodatkowo nałożył się na niego jeszcze tzw. manewr gospodarczy, przeprowadzany w drugiej połowie lat 1970-ch. Na czym miał on polegać, poza doraźnymi cięciami rozdętych inwestycji, nikt *nigdy* dokładnie nie wiedział. Ponadto, o czym ludzie nie wiedzieli, PRL zaczęła coraz więcej wydawać na zbrojenia.

Nie bez olbrzymiego wpływu na dalszy rozwój kraju miały też czynniki polityczne, a nade wszystko postawa samego Gierka. Gierek bowiem, po wypadkach w czerwcu 1976 r. w

Radomiu i Ursusie, które, choć bezkrwawe, zmusiły władze do wycofania się z próby podniesienia cen żywności, obraził się na naród. Od spraw wewnętrznych kraju zaczął coraz bardziej stronić, a skoncentrował się na zewnętrznych, bardziej efekciarskich niż konkretnych (jeśli nie liczyć beztroskiego brania oferowanych mu kredytów zachodnich, o których spłatę nigdy się troszczył, gdyż mu wmawiano, że jej ...nie będzie!). W połączeniu z pogarszającym się stanem zdrowia Gierka i opowiadaniem w najbliższym gronie o ewentualnej rezygnacji z zajmowanego stanowiska, co w połączeniu z zachwianiem się po czerwcu 1976 r. pozycji premiera Piotra Jaroszewicza (także z powodów zdrowotnych), tandem Gierek-Jaroszewicz, który jako tako działał - rozpadł się. Tym samym główny ośrodek sprawowania władzy uległ dezintegracji.

Co więcej, sytuacja polityczno-ideologiczna w kraju, pomijając już tego złożone i nigdy nie wyjaśnione do końca powody, zaczęła też dodatkowo rzutować na pogłębiający się bałagan w kraju, a nade wszystko w gospodarce. Raptem bowiem, z jednej strony, co wyraziły poprawkach do Konstytucji w lutym 1976 r., zaczęto „ideologizować” kraj, który uznano za „socjalistyczny” (na szczęście nazwy PRL nie zmieniono). Podkreślano też, teraz już oficjalnie, „kierowniczą rolę” PZPR, a przyjaźń z ZSRR miała być odtąd już konstytucyjnym obowiązkiem Polaków. Może nawet poprawiona Konstytucja byłaby jeszcze bardziej ideologiczna, ale stanowisko Episkopatu i niektórych intelektualistów stanęło temu na przeszkodzie, w rezultacie czego początkowe zapędy w tym kierunku zostały stonowane.

Wreszcie, dość dziwnie i nieoczekiwanie, rozpoczęło się mnożenie wszelkiej maści *politycznej* opozycji w kraju.

Początek tego procesu, formalnie przynajmniej, przypadł na okres po wypadkach czerwcowych z 1976 r. Podłożem jego była głównie sytuacja społeczno-ekonomiczna. Niezadowolenie szerokich rzesz Polaków, co prawda, istniało zawsze w powojennym okresie, ale po Październiku 1956 r. uległo ono na długo osłabieniu. W grudniu 1970 r. zaczęło ono znów wzrastać, ale zastąpienie Gomułki przez Gierka znów je zneutralizowało na kilka lat. Pogarszająca się jednak sytuacja społeczno-gospodarcza kraju już od połowy lat 1970-ch, wbrew zapowiedziom jej dalszej poprawy, zaczęła zachęcać do kolejnego zrywu społecznego.

Wydarzenia z czerwca 1976 r. były tego pierwszą oznaką, ale tym razem, nie tak jak dawniej, nie nastąpiła żadna neutralizacja jakimś „Październikiem” czy „Grudniem”, niosącymi za sobą radykalne zmiany w szeregach najwyższej władzy. Tym razem, wszystko miało zostać po dawnemu. W rezultacie tego, choć dość dziwnymi drogami, najpierw powstał KOR („Komitet Obrony Robotników”), przemianowany następnie na „Komitet Samoobrony Społecznej-KOR”. Powstały także ROPCiO („Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela”), WZZ („Wolne Związki Zawodowe”), partia KPN („Konfederacja Polski Niepodległej”), „Młoda Polska”, jak i parę innych „opozycyjnych” organizacji o umiarkowanym programie działania. Piszę o nich w cudzysłowie, gdyż ich pojawienie się nie zostało *nigdy* w pełni wyjaśnione. Rozszalały się też wydawnictwa tzw. drugiego obiegu, które władze tylko *pozornie* zwalczały. Zresztą, z powodów również nie do końca jasnych, nowopowstające „siły społeczno-polityczne” nie bardzo wiedziały czego chciały. Co najwyżej, często nawet z pozycji socjalistycznych, chciały jedynie poprawiać istniejące porządki, a *nie* zastępować je nowymi. A jeśli „antysocjalistyczna” część opozycji, nieliczna zresztą, głosiła co innego, to i ona również sięgnięcia do przemocy dla obalenia władzy nie głosiła. Nie było też dowodów na to, że rodzącą się opozycję wspierał otwarcie i aktywnie Zachód. Mogła więc działać niemal jawnie. Pewnie dlatego (o czym raz przekonałem się na własnej skórze), że była ona *sterowana* przez służby specjalne PRL, a może nawet ZSRR. Tam bowiem też w tym czasie zaczęto dopuszczać, a nawet misternie tworzyć, różne grupy dysydencko-opozycyjne.

Ogólnie więc, sytuacja w PRL jakby zapraszała do „Lata 80”, które zakończyło się, jak wiadomo, stanem wojennym.

Ale czy te wydarzenia - ciśnie się pytanie po raz wtóry - były nieuniknione?

Oczywiście, materiał zapalny istotnie tkwił w coraz bardziej zawiedzionym obietnicami społeczeństwie, ale bez rzucenia na niego iskry, mógł on jeszcze długo nie ulec samozapaleniu. Kierownictwo PRL powinno było wiedzieć, że żaden zryw społeczny, nawet autentyczny, nie mówiąc już o manipulowanym, nie mógł w istniejącej sytuacji *niczego* zmienić! Jego obowiązkiem, Gierka w pierwszym rządzie, było więc *nie dopuścić* do rozhuśtania kraju, któremu już tylko „stan wojenny” lub zbrojna interwencja radziecka mogły położyć kres. Użycie

siły, jeśli rozhuśtywania się kraju nie dałoby się powstrzymać rzeczową perswazją, było zatem *lepszym* rozwiązaniem od tego, do którego w końcu sięgnięto.

Dlatego też *niewybaczalną* winą kierownictwa PRL, zwłaszcza Gierka, było dopuszczenie do sytuacji, która stała się iskrą Lata 80. Wprowadzając 1 lipca 1980 r., wybiórczo i nieoficjalnie zapowiedzianą komercjalizację niektórych cen wyrobów mięsnych oraz garmazeryjnych, w dodatku w bufetach robotniczych, było tak bezmyślne, iż trudno uwierzyć, że ktoś mógł wpaść na taki pomysł! Tym bardziej, że podwyżkom cen towarzyszyły nowe tabele płac, natychmiast odczytane jako przykręcenie śruby wynagrodzeń. Gdyby podwyżkę wprowadzono w miejskich sklepach komercyjnych, to może obesłoby się bez większych protestów. Ale nie! Porwano się na krok, który w dodatku był wątpliwy od strony poprawy finansów państwa, gdyż tylko 2 procent podaży mięsa miało być objęte komercyjnymi cenami.

Któż zatem wpadł na tak bezmyślny i szaleńczy pomysł?

No cóż, do dziś dokładnie *nie wiadomo* kto! Dwa ostatnie posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR przed wypadkami z 1 lipca 1980 r. odbyły się 3 i 17 czerwca. Rozpatrywano na nich głównie, realistycznie przedstawione, ekonomiczne problemy kraju. Gospodarka dosłownie waliła się i było już pewne, że w 1980 r. zamiast niewielkiego wzrostu produkcji nastąpi jej spadek (a jeszcze nie wiedziano, że spotęgują go złe zbiory tego roku). Spadek mógł też powtórzyć się w roku następnym.

W tej sytuacji należało postępować niezwykle ostrożnie, żeby nieopatrnie nie zaognić nastrojów społecznych, zwłaszcza tak bezmyślną decyzją jak powyższa. W opublikowanych protokołach z obu czerwcowych posiedzeń BP *nie można* jednak dowiedzieć się kto ją przedłożył. Będąc wtedy w kraju i mając dostęp do wielu poufnych informacji, nie mogłem się tego *nigdy* dowiedzieć. Ludzie, którzy coś o podwyżce wiedzieli, byli bądź na urloпах bądź się do nich zbierali. Z opublikowanych materiałów z posiedzenia BP z 11 lipca 1980 r. można się jednak dowiedzieć, że Gierek miał chyba *decydujący* głos w „lipcowym wygłupie”. Mówił bowiem na posiedzeniu BP, że „*rzecz nie leży w odpowiedzialności za decyzje poszerzenia cen komercyjnych. Nie ma sensu tego roztrząsać*”.

Nie było sensu? A co w zamian tego Gierek proponował?

Ano, zwołał 9 lipca dość dziwaczną naradę w KC, na której poinstruował zebranych, że narastające protesty po podwyżkach lipcowych cen komercyjnych (które zresztą nie wszędzie wprowadzono, a tu i ówdzie już wycofywano się z nich), należy wygaszać... *podwyżkami* płac! Z czego? Przecież w czerwcu na posiedzeniach BP mówiono wręcz o konieczności *redukcji* płac, a nie ich wzroście! Ze wspomnień zaś doradcy ekonomicznego Gierka, prof. Pawła Bożyka w książce pt. *Kto winien?* też nie można się dowiedzieć nic o tym kto wpadł na „komercyjny pomysł podwyżkowy”. Wspomina tylko, że „w roku 1980 podniesienie cen stało się konieczne”. I na tym koniec! Gierek zaś, w dziesięć lat później, w książce-wywiadzie pt. *Przerwana dekada*, powracając do tematu cen komercyjnych, które spowodowały jego upadek, nadal uważał, że było to konieczne. Na pytanie zaś Janusza Rolickiego dlaczego nie próbował otwarcie mówić o tej konieczności ze społeczeństwem, tak oto odpowiedział:

- Dziś taka propozycja wydaje się logiczna i sensowna, lecz wtedy miałem paraliżujący wręcz, zwłaszcza po czerwcu (1976 r.) kompleks cen i miałem świadomość, że decydując się na taki właśnie dialog ze społeczeństwem, w razie braku zrozumienia społecznego pod znakiem zapytania postawię cały swój program. A to wydawało się stawką zbyt wysoką.

O jakim „swoim programie” Gierek bredził? Żadnego przecież nie miał! Wszystko szło w rozsypkę, a swoją „komercyjną” decyzją Gierek tylko spotęgował narastający kryzys, przyśpieszając swój upadek, a krajowi fundując „stan wojenny”!

A dziś, o dziwo, w badaniach opinii publicznej Gierek zajmuje *pierwsze* miejsce jako najlepszy przywódca powojennej Polski! Nie do wiary! Będąc przez szesnaście miesięcy jego ekonomicznym doradcą, poznałem go z bliska i stwierdzam, że był on niewątpliwie człowiekiem o dobrych chęciach, ale jednocześnie mało inteligentnym, o bardzo skromnej wiedzy, zwłaszcza ekonomicznej, zadufany w sobie, a wreszcie po prostu leń! Bez żalu więc zrezygnowałem ze swego stanowiska, gdyż byłem przekonany, że wcześniej czy później Gierek doprowadzi kraj do katastrofy. Oczywiście, gdyby był nawet geniuszem, to przy istniejących w Polsce realiach też nie stworzyłby dobrobytu, ale do katastrofy *mógł* nie dopuścić!

Niestety, nie tylko dopuścił, ale jeszcze swoją postawą przez następne ponad dwa miesiące niebotycznie ją pogłębił. Posiedzenie BP w trybie nagłym, po tym jak zakłady w

Mielcu zastrajkowały już 1 lipca, powinien był zwołać już w następnym dniu, a *nie czekać* jeszcze osiem dni, żeby w końcu swoimi propozycjami podwyżek płac tylko dolać oliwy do ognia! Gaszenie strajków (a nawet nie strajków) podwyżkami płac *zachęcało* bowiem do dalszego rozlewania się ich po kraju. Ba, następnego po 11 lipca posiedzenia BP nie tylko tygodniami nie zwoływał, ale kiedy już do niego doszło 14 sierpnia, w związku ze strajkiem Stoczni Gdańskiej, to Gierka na nim nie było! Pojechał bowiem na urlop na Krym, gdzie zwyczajowo spotykał się przy tej okazji z Breżniewem. Jak sam przyznaje w *Przerwanej dekadzie*, chciał tym krokiem ...przekonać kierownictwo radzieckie, że w Polsce *nic* się nadzwyczajnego nie działo! Wierzył, że Moskwa nie wiedziała co się w Polsce działo? Lepiej wiedziała od niego! Przecież generał-lejtnant Witalij Pawłow, w latach 1973-1984 przedstawiciel KGB w PRL, wiedział o *wszystkim* co się w niej działo. Poza 15-osobowym i oficjalnym biurem, miał jeszcze masę innych nieoficjalnych współpracowników i wielotysięczną sieć agenturalno-informacyjną. Wywiad wojskowy GRU był pewnie również nie mniej liczny. Pawłow, w swojej wydanej w Warszawie w 1994 r. 387-stronicowej książce *Byłem rezydentem KGB w Polsce*, nie ukrywa, że spotykał się często z najwyższymi w PRL osobistościami, od Gierka, Kani i Jaruzelskiego poczynając, a na wszystkich innych, których chciał widzieć, kończąc. Ciekawe tylko, że analizując wnikliwie rozwój sytuacji w Polsce, jakoś *nie zauważył* lipcowego preludium do szczegółowo roztrząsanych przez siebie wydarzeń „Lata 80”! O dość zagadkowych strajkach w Mielcu, Świdniku i na Lubelszczyźnie *nie wspomina* ani słowem. Dlaczego? Nie wiedział o nich, czy może bał się zdradzić, że *za dużo* wiedział?

Jedynie, znany mi osobiście Piotr Kostikow, wieloletni kierownik „polskiego sektora” w KC KPZR, w swojej 264-stronicowej książce pt. *Widziane z Kremla*, wydanej w Warszawie w 1992 r., wspomina o „lipcowym preludium” i jego dalszych konsekwencjach. Píše na przykład o strajku lubelskim i o tym, że nadchodzące kanałem KGB informacje z Polski były alarmujące. Kostikow słowem jednak nie sugeruje, że peerelowskie i radzieckie służby specjalne prowadziły tutaj jakąś nieczystą grę. Nie wiedział o tym, czy tylko nie chciał o tym pisać?

Gierek w *Przerwanej dekadzie* twierdzi, że strajk lokomotywowni w Lublinie, który wybuchł 16 lipca 1980 r. i który w ciągu dwóch dni rozlał się po Lubelszczyźnie, był

zorganizowany wspólnie ze służbami specjalnymi przez Władysława Kruka, szefa lubelskiej PZPR. Skoro wiedział, czy choćby tylko domyślał się tego, to dlaczego *nie wyciągnął* stąd żadnych konsekwencji i pomknął sobie spokojnie na Krym, gdzie siedziałby sobie jeszcze nie wiadomo jak długo, gdyby BP nie wezwało go do powrotu do kraju? Czyżby Gierek naprawdę niczego nie rozumiał co się wokół niego i w kraju działo czy był zupełnie bez wyobraźni?

A co robili w tym czasie ważniejsi członkowie BP, tzw. siłowa trójka, do której wchodził Stanisław Kania, Sekretarz KC odpowiedzialny za „siłowe resorty”, Wojciech Jaruzelski, minister obrony narodowej, oraz Stanisław Kowalczyk, minister spraw wewnętrznych?

Zaczynając od tego ostatniego, to nie bardzo wiadomo co robił i myślał w tym czasie. Sam nic na ten temat nie napisał, a z relacji innych też niewiele można się dowiedzieć. Uczestniczył 11 lipca 1980 r. w posiedzeniu BP, ale poza krótką odzywką, głosu w dyskusji nie zabierał. Potem poleciał na urlop na Krym, skąd dopiero uchwałą BP z 14 sierpnia został ściągnięty do kraju. Zresztą, nie będąc zawodowym bezpieczeniakiem, Kowalczyk był w resorcie figurantem, zostawiając swobodę działania swoim zastępcom.

Co się tyczy Kani, to opierając się na jego własnej relacji, zawartej w 304-stronicowej książce-wywiadzie z 1991 r. pt. *Zatrzymać konfrontację*, „lipcowemu preludium” ledwie poświęcił nieco uwagi, nie wyjaśniając bliżej jak do niego doszło i kogo za nie należy winić.

Jaruzelski z kolei, znów opierając się na jego własnych relacjach, zawartych w 428-stronicowej książce z 1992 r. pt. *Stan wojenny dlaczego...* i w 95-stronicowej książce z 1999 r. pt. *Jak doszło do stanu wojennego*, sprawę „lipcowego preludium” w ogóle pominął! Dlaczego? Nie wiedział o tym, że rozhuštało ono kraj i że w wyniku tego musiał - jak to twierdzi - szukać dla niego ratunku w „stanie wojennym”? Dlaczego też wyjechał sobie do Suchumi nad Morzem Czarnym na urlop, opuszczając posiedzenia BP w dniach 11 lipca i 14 sierpnia? Co prawda, na posiedzeniu BP 15 sierpnia był już obecny, ale głosu na nim nie zabrał! Podobnie jak nie zabrał w dniu następnym. Zabrał dopiero na kolejnym posiedzeniu BP w dniu 18 sierpnia, ale nic specjalnego nie miał do zaproponowania. Na posiedzeniu BP 22 sierpnia milczał, ale już na posiedzeniu w dniu następnym zabrał nagle głos w sposób bardzo zdecydowany, domagając się właściwie *zmian* personalnych w kierownictwie partii, choć konkretnych propozycji nie

przedłożył. Jego wystąpienie było jakby zapowiedzią poważnych przesunięć w składzie BP i w rządzie już w *następnym* dniu! Kto go natchnął do takiego wystąpienia?

W ogóle zaś, to jak to było możliwe, że przez kraj przewalała się fala strajków, groźnych zwłaszcza na Lubelszczyźnie, a szefów „siłowych resortów” Gierek puścił na urlop, a oni pojechali? Nawet sam Kania też urlopował w Bułgarii, chociaż na raty, często dolatując do kraju, żeby być na wszystkich odbywanych w lipcu-sierpniu posiedzeniach BP.

Jeśli tak, to właściwie *po co* Gierek wybrał się na krymski urlop? Sam przecież potem mówił, że Kania już dawniej zblokował się z Jaruzelskim za jego plecami (nie dodał tylko, że zapewne z polecenia Moskwy), a do nich zaczął przystawać także Kowalczyk. Kowalczyk na dobitkę - jak to Gierek potem napisał - zapewniał go na BP, że Lech Wałęsa, przywódca strajku w Gdańskiej Stoczni, to „jego” człowiek! Jak to, agent SB staje na czele strajku i Gierek nie zapytał Kowalczyka *kto* mu na coś podobnego pozwolił?³ Nie do wiary!

Ale taki właśnie był Gierek. Po powrocie z Krymu było już pewnie za późno, żeby mógł ująć stery władzy i opanować rozhuśtany kraj. Coś takiego jakby próbował jeszcze robić, czego w jakimś stopniu byłem naocznym świadkiem. W gorących dniach „Lata 80” byłem bowiem częstym gościem w studio telewizji warszawskiej i raz, wczesnym wieczorem 18 sierpnia, miałem znów w niej wystąpić. W ostatniej chwili jednak moje wystąpienie anulowano, gdyż coś „ważnego” miało za chwilę nastąpić. Istotnie, ze studia do narodu wkrótce przemówił Gierek. Ale jak mi potem mówiono, kiedy zjawił się w studio, to pytał, czy jest aby ...dostatecznie opalony! Przecież ludzie wiedzą - mówił - o jego pobycie na Krymie i źle byłoby, gdyby wyglądał na bladosa!

Wystąpienia Gierka było wygłoszone z werwą, z akcentowaniem każdego słowa. Była to klasyczna „mowa do ludu”. Dzień wcześniej strajkujący wyszli już ze swoimi 21 postulatami w

³ W dniu 14 sierpnia 1980 r. przed południem, idąc do KC PZPR w związku z moim wyjazdem na specjalną sesję Zgromadzenia Ogólnego ONZ, dowiedziałem się o wybuchu strajku w Gdańskiej Stoczni. W KC miałem spotkać się z Lucjanem Piątkowskim, moim kolegą od lat, wtedy pełniącym obowiązki Kierownika Wydziału Zagranicznego KC. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, to akurat rozmawiał przez telefon z płk. Romanem Misztalem, wówczas zastępcą szefa Z-II (późniejszym generałem i w latach 1990-1991 szefem Wywiadu Wojskowego). „*Romek Cię pozdrawia i prosi o powiedzenie Ci, że na czele strajku w stoczni stoi Lech Wałęsa, nasz człowiek.* - Lutek powiedział po zakończeniu rozmowy z Misztalem.” Kowalczyk więc mówił *prawdę* Gierkowi!

Gdańsku, wśród których było także żądanie stworzenia wolnych związków zawodowych. Gierek uznał ten postulat za *niemożliwy* do przyjęcia. I nie było w tym nic dziwnego. W istniejącym w PRL ustroju na żadne „wolne związki zawodowe” nie było miejsca.

Tym niemniej, władze rozpoczęły rozmowy ze strajkującymi w Gdańsku i Szczecinie, którzy chętnie zgodzili się na dialog, nie prąc na razie na strajk generalny. W ogóle zaś, to w porównaniu do poprzednich protestów społecznych, ten z „Lata 80” nosił *niekonfrontacyjny* charakter. Strajki zamykały się w zakładach, ulica była spokojna, a władze unikały jakichkolwiek prowokacji. Wierzono powszechnie, że Polak z Polakiem jakoś się porozumie. Nie bez znaczenia był też fakt, że BP, formalnie dotąd monolit, zaczęło pękać w szwach, a zwołane 24 sierpnia IV Plenum KC przyjęło uchwałę *politycznego* rozwiązania kryzysu, dokonując również tegoż dnia poważnych zmian w składzie BP i na stanowisku premiera. Formalnie, zmiany miały gwarantować nową linię rozwiązania kryzysu, ale faktycznie osłabiły one jeszcze bardziej i tak już słabą pozycję Gierka.

A co o tym wszystkim myślała Moskwa? Do dziś *nie jest* jasne, dlaczego Moskwa, która do 20 sierpnia 1980 r., kiedy to *Prawda* wspomniała o „przerwach pracy” w Polsce (jakby do tego czasu ich nie było!) milczała na temat sytuacji w Polsce? Teraz jednak już milczenie przerwała, ale nie było pewne, czy zaakceptowała nową linię postępowania kierownictwa PZPR (aczkolwiek trudno sobie wyobrazić, że mogło być inaczej). Co było natomiast niepokojące to fakt, że Moskwa raptem zaczęła mówić o „kontrewolucji” w Polsce. Tym samym, osiągnięte wkrótce porozumienia szczecińskie, gdańskie, a następnie w Jastrzębiu, choć najprawdopodobniej za jej cichą zgodą, na zewnątrz Moskwa przyjęła wrogo. Było więc już tylko kwestią czasu *jak długo* będzie tolerować zaistniały w Polsce stan rzeczy.

Czy Moskwa maczała palce w nagłym zaśląbnięciu Gierka i usunięciu go ze stanowiska w nocy z 5 na 6 września 1980 r., nie jest pewne, ale też nie jest wykluczone. Z pewnością jednak dała zgodę na jego następcę, posłusznemu jej w każdym calu Kanię, udającego wtedy „ugodowca”. Dziś, kiedy już wiadomo jak sprawy potoczyły się dalej, rozszada z Kanią była więc tylko przejściowym rozwiązaniem. Jeśli bowiem „Lato 80” miało skończyć się „stanem wojennym”, to *tylko* Jaruzelski był dla Moskwy człowiekiem zdolnym do jego przygotowania i

przeprowadzenia. Kiedy więc w lutym 1981 r. objął urząd premiera, a w październiku zastąpił Kanię na stanowisku I Sekretarza KC PZPR, zachowując jednocześnie stanowisko ministra obrony narodowej, to stało się oczywiste, że tego rodzaju monopolizowanie przez niego władzy temu właśnie celowi miało służyć.

Moskwa, co więcej doskonale też wiedziała, że wielu Polaków o Jaruzelskim mówiło jak najlepiej i wierzyło, że jest on z narodem, a nie z partią i że prawdziwie polski patriotyzm był u niego głęboko zakorzeniony (już w Grudniu 70 rozpuszczano plotki, że Jaruzelski odmówił otwarcia ognia do strajkujących i że za to był nawet krótko w areszcie domowym). Jaruzelski był więc *idealnym* kandydatem do uśpienia czujności Polaków i zaskoczenia ich „stanem wojennym”.

Wracając pamięcią do tamtych dni, przyznaję szczerze, że nie miałem tak jasnej wizji gotowanej przez Moskwę niespodzianki. *Solidarność*, przynajmniej na papierze, urosła w ogromną 10-milionową siłę (nawet Niunia została jej członkiem), a na horyzoncie majaczyła się jeszcze 2,5-milionowa chłopska *Solidarność*. PZPR „schudła” natomiast z ok. 3,3 mln do ok 2 mln członków, ale mimo tego „władza ludowa” ciągle jeszcze była silna, choć robiła wrażenie niezdecydowanej w działaniu. Wydawać się więc mogło, że jakieś wyłącznie siłowe rozwiązania, zwłaszcza własnego chowu, były *mało* prawdopodobne. Tym bardziej, że nawet ludzie względnie dobrze poinformowani raczej wykluczali wprowadzenie „stanu wojennego”. Więcej natomiast wierzyli w radziecką interwencję, ale też daleko nie wszyscy. Początkowo brak większych emocji po każdej stronie był pocieszającym faktem. Wyglądało na to, że *pokojowy* przebieg wydarzeń miał szanse trwania. Nie było tylko jasne *jak* długo miał on trwać. Kiedyś przecież godzina prawdy musiała wybić. ZSRR istniał przecież w najlepsze, w „bratnich krajach” nie było oznak niepokoju społecznych, dużą rezerwę wobec ruchu strajkowego, a potem *Solidarności*, zachowywał Kościół, podczas gdy Zachód, bojąc się reakcji Moskwy, która po agresji przeciwko Afganistanowi w grudniu 1979 r. była jakby w wojennym nastroju, był niezwykle wstrzemięźliwy wobec wydarzeń w Polsce.

Problemem była więc Moskwa, jak zwykle enigmatyczna i co innego mówiąca, a co innego czyniąca.

„Coś” więc musiało się stać i wielu takich jak ja oczekiwało tego. Może nawet i to „coś” przysłoby w jakiś naturalny sposób, ale PRL nie była przecież w pełni suwerennym państwem i należało liczyć się z tym, że jeśli już dojdzie do jakichś wydarzeń, to *nie* bez moskiewskiego przysłowiowego palca.

Otóż właśnie, chodzi o ten „palec”. Kiedy w lipcu zaczęły się w Polsce wydarzenia Lata 80, to natychmiast rzucił się w oczy *zastanawiający* niedowład władz. Pracowałem wtedy w MSZ i rozmawiałem często na ten temat z Czesławem Makowskim, pułkownikiem SB pod przykryciem, którego dobrze znałem. Czesiek ciągle przebywał na Rakowieckiej, w siedzibie MSW, skąd przynosił różne wieści na temat rozwijających się wydarzeń w kraju po 1 lipca. Jak mu tam mówiono, „towarzysze radzieccy” mieli dziwnie *pobłażliwy* stosunek do narastającej w Polsce fali strajkowej, a nawet były oznaki, iż jej ...sprzyjali! Dokładnie to samo słyszałem od płk. Andrzeja Bolewskiego z Zarządu II, który był moim łącznikiem z szefostwem. Spotykałem się z nim wtedy bardzo często i Andrzej nie mógł zrozumieć, *dlaczego* „radzieckim” zależało na bezczynności naszych władz. A kiedy już wybuchł strajk w Stoczni Gdańskiej i dowódca 6 Pomorskiej Dywizji, tzw. czerwonych beretów, zaproponował jego rozpędzenie gołymi rękami przez swoich żołnierzy, to „towarzysze radzieccy” *sprzeciwili* się temu kategorycznie! Było to o tyle dziwne, że z prawie 17-tysięcznej załogi stoczni, strajk okupacyjny prowadziło tylko nieco ponad 3 tysiące, siła *za mała* dla stawienia oporu 10-tysięcznej dywizji czerwonych beretów.

O dziwnym zachowaniu się ZSRR świadczył również fakt, że jego 59 garnizonów na terenie Polski, w których GRU, wywiad wojskowy, był licznie reprezentowany, zaczęły nagle wykazywać niezwykłą aktywność... w podburzaniu zakładów do strajków! Doszło nawet do tego, że milicja aresztowała nieraz takich agitatorów, oficerów GRU po cywilnemu i dobrze mówiących po polsku, ale natychmiast musiała po interwencji z góry ich zwalniać, a oni natychmiast wznawiali działalność!

Wiedząc o tym wszystkim, a przecież nie wszystko wiedziałem, miałem dość istniejących porządków i wyczekiwałem jakichś zmian, ale naprawdę nie wiedziałem jakich. Od strony *Solidarności*, faktycznie związków zawodowych, choć tym razem niezależnych, z racji swojej natury roszczeniowych, niczego dobrego nie spodziewałem się. Nawet gdyby wymusiły

usprawnienia systemowe, to przecież i tak *nie sprostalyby* one zaspokojeniu ich 21 postulatów. Miesięczne podwyżki płac o 2000 złotych, trzyletnie płatne urlopy macierzyńskie, wolne soboty oraz przejście na emeryturę kobiet po trzydziestu, a mężczyzn po trzydziestu pięciu latach pracy, uważałem po prostu za *samobójstwo* ekonomiczne! Żadna gospodarka w świecie *nie uciągnęłaby* podobnego obciążenia!

Trapiły mnie też inne rozterki, a raczej wątpliwości, czym *naprawdę* była *Solidarność* i inne opozycyjne organizacje. Przyznaję, że dość długo nie mogłem uwierzyć, iż były one czymś *innym* od ich oficjalnego wizerunku. Po prostu nie mieściło mi się w głowie, że wielu Polaków mogło upaść tak nisko i tak perfidnie grać swoje *podwójne* role. Naiwności tej nie mogę sobie do dziś wybaczyć! Przecież - jak to już wspominałem powyżej - o tajnych powiązaniach Wałęsy usłyszałem już w pierwszym dniu strajku Gdańskiej Stoczni. A dziś już wiadomo, że z trzech przywódców największych strajków latem 1980 r., Marian Jurczyk w Szczecinie i Jarosław Sienkiewicz w Jastrzębiu, byli *niekwestionowanymi* dziś agentami SB. Lech Wałęsa z Gdańska natomiast, choć się tego zapiera i nikt nie chce mu tego na razie udowodnić, był nim także!

A skoro już o tym piszę, to nie mogę nie wspomnieć epizodu, który szczególnie wrył się w moją pamięć. Otóż, kiedy *Solidarność* działała już w najlepsze, któregoś listopadowego dnia 1980 r., śpiesząc na przystanek tramwajowy przy ul. Marszałkowskiej, gdyż za chwilę zaczynałem wykład na SGPiS, spotkałem znanego mi z Genewy z lat 1969-1971 szyfranta (nazwisko jego uleciało mi z pamięci). Mając do mnie zaufanie, ponieważ znał mnie jako b. rezydenta Z-II w Genewie, rozgadał się i dziś nie mogę odżalować, że nie porozmawiałem z nim dłużej. Pracował on w MSW, w szyfrach, ale tym razem związanych z działalnością *Solidarności*, a nie zagranicznych rezydentur.

- *Kierownictwo Solidarności, to nasi ludzie...* - wyszeptał mi w ucho.

Przyznaję, że mu nie wierzyłem, biorąc jego słowa za przechwałki MSW. No cóż, człowiek czasem nie wyobraża sobie, że coś może być istotnie prawdą...

A jeśli chodzi o zasłyszaną informację o kierownictwie *Solidarności*, to nie przypuszczałem, że już za parę miesięcy uzyskałem właściwie jej potwierdzenie, choć przyznaję, że i wtedy tak daleko w swoich podejrzeniach nie poszedłem. Chodzi mianowicie o wizytę w

Japonii, w maju 1981 r., delegacji *Solidarności* z Wałęsą na czele.

Na przełomie kwietnia i maja (dokładnej daty nie pamiętam) złożył mi wizytę p. Michio Tomizuka, przewodniczący największej centrali związków zawodowych, 4-milionowej SOHYO. Ku mojemu zdziwieniu (Warszawa *nie poinformowała* mnie wcześniej o niczym), Tomizuka zapytał, czy przewiduję przyjęcie dla przylatującej 10 maja do Tokio delegacji *Solidarności* z Wałęsą na czele. Gospodarze muszą bowiem mieć dokładny plan jej pobytu i stąd chcą to wiedzieć. Tomizuce nie dałem do zrozumienia, że o *niczym* nie wiem, ale odpowiedziałem, że wydam przyjęcie dla delegacji w dwa dni po jej przybyciu do Tokio. Moją odpowiedzią p. Tomizuka był wyraźnie zaskoczony (zaskoczony był też Gaimusho, japoński MSZ, o czym przekonałem się już tego samego dnia), ale moją sugestią natychmiast przyjął.

Czy mogłem postąpić inaczej? Oczywiście, a nawet *powinienem* był tak uczynić. Skoro Warszawa o przylocie delegacji milczała, to oznaczało to, że przyjęcia dla niej w ambasadzie *nie życzyła* sobie i na własną rękę nie wolno mi było tego czynić! Tak jednak nie postąpiłem, licząc się nawet z nieuznaniem przez MSZ kosztów przyjęcia (pokryłbym je wtedy z własnej kieszeni).

Przyjęcie wydałem wieczorem 12 maja, wypadło okazale (dzięki pomocy personelu ambasady i podległych jej placówek, którym dyrygowała Niunia). Dla uniknięcia jakichś kłopotów z „bratnimi krajami”, na przyjęcie zaprosiłem jedynie Japończyków i miejscową Polonię.⁴ Doniesiono mi jednak, że przed ambasadą była ekipa radzieckiej telewizji (w następnym miesiącu, będąc w Moskwie dowiedziałem się, że niepochlebnie wypowiedziała się o mnie z powodu wydanego przyjęcia).

Incydent z delegacją *Solidarności* potraktowałem jako zastawioną na mnie pułapkę, ale nie przejąłem się tym specjalnie. Zresztą, już w następnym miesiącu wybierałem się do kraju na koszt ONZ, a więc miałem nadzieję, że dowiem się wszystkiego.

Powracając do delegacji, to w skład jej wchodził Lech Wałęsa, Zbigniew Bujak, Władysław Frasyniuk, Jan Rulewski, Tadeusz Mazowiecki, Ewa Potrykus i parę innych

⁴ Stąd też byłem niezmiernie zdziwiony, kiedy Wałęsa, w wydanej w 1987 r. w USA swojej książce *A Way of Hope* (Droga nadziei), o przyjęciu go i jego delegacji przeze mnie nie wspomniał słowem. Wtedy jeszcze myślałem, że w tym czasie mogło mu to być niewygodne, ale kiedy w 1990 r. już w III RP ukazała się polska wersja jego książki i nadal nic o moim dla niego przyjęciu nie było, to już nie miałem wątpliwości kim on był naprawdę.

towarzyszących delegacji osób. Delegację powitaliśmy z Niunią serdecznie na dziedzińcu ambasady, a następnie przeszliśmy do zastawionych stołów. Z Wałęsą dwukrotnie rozmawiałem, głównie sam na sam. Wywarł on wtedy na mnie bardzo *nieprzyjemne* wrażenie. Nie dlatego nawet, że byłem do niego uprzedzony, słysząc o nim wspomniane powyżej opinie, ale jego zachowanie było bardzo dziwne. Stawał przede mną na baczność i wypytywał, jak oceniam zachowanie się jego delegacji. Jakby nie był pewien, czy było ono poprawne.⁵ Swoje nienajlepsze wrażenia zachowałem jednak dla siebie. Ale też, po wyjeździe delegacji, na spotkaniu z pracownikami ambasady powiedziałem, że:

- *Ludzie ci lepszej Polski nie zbudują...*

Jeśli nie *Solidarność* to *kto* inny mógł być nadzieją Polski? Teoretycznie przynajmniej, powinna nią była być PZPR, partia sprawująca rządy w kraju. Jednakże PZPR musiałaby wtedy ulec głębokim przeobrażeniom, ideologicznym i politycznym, a nade wszystko radykalnie odnowić swoje kierownictwo. Okazją do tego mógł być VIII zjazd partii w lutym 1980 r., ale zanim został on zwołany już było wiadomo, że *niczego* nie można było się po nim spodziewać. Co gorsza, zjazd pośrednio nawet przyznał, że rozwój kraju załamał się, gdyż tylko 10-procentowy przyrost produkcji w kolejnym pięcioleciu, czyli w tempie poniżej 2 procent rocznie, był już oznaką *kryzysu* gospodarki. Rzecz jasna, *niczego* już nie można było oczekiwać od IX zjazdu PZPR, zwołanego w lipcu 1981 r.

W Polsce lat 1980-1981 powstała więc *autentycznie* sytuacja patowa. Coś trzeba było zrobić, żeby kraj przestał tonąć w pogłębiającym się z każdym dniem kryzysie. Ale *kto i jak* miał to zrobić?

Odpowiedzi na to pytanie nie miałem wtedy i nadal nie mam. Nad Polską - tak wtedy myślałem - zawisło jakieś fatum, które *niczego* dobrego nie wróżyło. W rozmowach, jakie wtedy w kraju prowadziłem, wspominałem tylko, że najważniejsze w tym awaryjnym locie Polski jest

⁵ Jak dalece uprzedziłem się do Wałęsy po jego wizycie w Japonii niech świadczy fakt, że kiedy po uzyskaniu azylu politycznego w USA po raz pierwszy od opuszczenia Tokio wystąpiłem publicznie w Kongresie 28 grudnia 1981 r., to mówiąc ciepło o *Solidarności*, o Wałęsie *nie wspominałem* słowem. I to pomimo, że już wiedziałem, iż amb. Romuald Spasowski, który o azyl w USA poprosił dwa dni wcześniej, jako powód swojej decyzji podał internowanie Wałęsy.

możliwie miękkie lądowanie, gdyż dalej ona już nie poleci. A przecież żaden Polak *nie powinien* dążyć do jej rozbicia się!

Czy wszyscy tak myśleli? Myślę, że nie. A jeśli tacy nawet byli, to ich nie spotkałem. Inna rzecz, że ze względu na swój charakter pracy nie mogłem uczestniczyć w wielu publicznych dyskusjach. Od lipca 1980 r. bywałem często za granicą, najczęściej w Genewie, USA (gdzie w sierpniu widziałem masę migawek z Polski i wysłuchałem wielu komentarzy), Danii, Szwecji, Etiopii, Zairze, Nigerii i znów w Genewie. Ponadto, od października 1980 r. wiedziałem już, że mam być mianowany ambasadorem w Japonii i na Filipinach, w wyniku czego dużo czasu musiałem poświęcić na przygotowanie się do wyjazdu, który nastąpił 11 lutego 1981 r. Z daleka nie mogłem, rzecz jasna, szczegółowo śledzić, a nawet pojąć niektórych krajowych wydarzeń.

Tym niemniej, będąc w Tokio mówiłem swoim rozmówcom, że kryzys polski będzie *pokojowo* rozwiązany przez samych Polaków, choć już od końca marca 1981 r. - jak to już wspominałem w innym miejscu - liczyłem się z możliwością „stanu wojennego”.

Nic dziwnego więc, że nadarżającą się okazję wyjazdu do Polski 5 czerwca 1981 r., za ONZ-owskie pieniądze ze względu na moje wcześniejsze zobowiązania, chciałem wykorzystać dla uzupełnienia wiedzy o panującej w niej sytuacji. Po drodze, zmieniając samolot, zatrzymałem się na kilkanaście godzin na Wyspach Seszelskich, gdzie miałem okazję wykąpać się w Oceanie Indyjskim. Następnie poleciałem via Mombasa do Nairobi, skąd w dniu następnym dotarłem wreszcie do Addis Abeby na odbywające się tam spotkanie międzynarodowe. Po dwóch dniach poleciałem Aerofłotem do Adenu, wtedy stolicy „ludowego” Jemenu (ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem na lotnisku dziesiątki radzieckich samolotów bojowych), a stamtąd via Kair i Charków do Moskwy, gdzie dotarłem o północy 9 czerwca. Z lotniska jeden z członków ambasady zawiózł mnie do nowej jej siedziby, dużego polskiego kompleksu przy ulicy Klimaszkina, daleko od centrum Moskwy (poprzednia ambasada, na ul. Aleksyjeja Tołstoja, była niemal w jej centrum).

W Warszawie akurat trwało XI plenum KC, na którym omawiano „list przywódców ZSRR” sprzed czterech dni do „towarzyszy polskich”. List KC KPZR chwalił, o dziwo, postawę

Zdzisław M. Rurarz
[Niewydane pamiętniki]
Rozdział VII (listopad-grudzień 2005 r.)

Kania i Jaruzelskiego, krytykując jednocześnie ...kierownictwo PRL! Jak to mogło być możliwe? Wtedy nie wiedziałem jeszcze o tym, że Kania z Jaruzelskim odbyli w nocy z 3-go na 4-go kwietnia 1981 r., w salonce radzieckiego pociągu na boczniczy w Brześciu, supertajne spotkanie z ministrem obrony ZSRR Dymitrem Ustinowem i szefem KGB Jurijem Andropowem, przywódcami radzieckiego „kompleksu” (o spotkaniu *nie wiedziela* nawet CIA, co wynika z książki pt. *From The Shadows* Roberta M. Gatesa, jednego z jej szefów i to pomimo, że płk. Ryszard Kukliński jakoby szczegółowo informował Waszyngton o wszystkim!). Dziś wierzę, że w Brześciu ustalono z grubsza wszystkie szczegóły „stanu wojennego”, a reszta była tylko grą pozorów, w której nie tylko ja nie mogłem się połapać. Nie mógł także ambasador PRL w ZSRR Kazimierz Olszewski, członek KC, z którym rozmawiałem w następnym dniu po jego powrocie z plenum (zakończyło się 10 czerwca). Olszewski, b. oficer I Armii WP i wicepremier, nie posiadał się z oburzenia:

- Zdrada, spisek! Żabiński i Grabski⁶ wyszli z dobrymi propozycjami, ale generałowie, z Urbanowiczem na czele, poparli Jaruzelskiego. Armia radziecka musi w tej sytuacji wejść do Polski! Rusakow (Konstantin, Sekretarz KC KPZR ds. bratnich krajów) już poleciał do Lwowa, do jednostek, które ruszą w kierunku Polski...

Nie mieściło mi się to wszystko w głowie. W PRL antyradziecki spisek wojskowy z Jaruzelskim i generałami na czele? Nie wiedziałem doprawdy co miałem myśleć, słuchając Olszewskiego, uczestnika plenum.

Stąd chciałem jak najszybciej dostać się do Warszawy. Z Moskwy wyleciałem w późnych godzinach wieczornych 14 czerwca „pijanym” Ilem 62 Lotu. Pasażerowie, niektórzy spici już w Moskwie, a inni w samolocie, wyśpiewywali patriotyczne piosenki i byli w bojowym nastroju.

⁶ Andrzej Żabiński, członek Biura Politycznego KC i I Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, wraz z Tadeuszem Grabskim, członkiem Biura Politycznego i Sekretarzem KC PZPR, zaatakowali na Plenum KC kierownictwo partii, zwłaszcza Kanię, za tolerowanie „kontrrewolucji”. Wniosek obu, żeby przegłosować votum nieufności dla tandemu Kania-Jaruzelski, został skontrowany przez wojskowych członków KC, którym przewodził gen. Józef Urbanowicz, wiceminister obrony narodowej. Kania - należy zaznaczyć - w swoim referacie *poparł* stanowisko radzieckie. Wojskowi więc, kontrując wniosek Żabińskiego-Grabskiego, najprawdopodobniej wykonywali tylko instrukcję Moskwy.

- *Jaruzelski nas Ruskim nie da!* - śpiewali.

Co ci ludzie wyśpiewują? Uszom swoim nie wierzyłem...

Lecąc więc do Warszawy, byłem *jak najgorszych* myśli. Zaraz też po przylocie zacząłem zapuszczać nosa na ile słowa Olszewskiego miały pokrycie w faktach. Zanim 19 czerwca przyjął mnie Kania, a 22 czerwca Jaruzelski, odbyłem jeszcze rozmowy z gen. Edwardem Poradko, szefem Z-II, Mirosławem Milewskim, ministrem spraw wewnętrznych, gen. Henrykiem Piętkiem, jednym z jego zastępców, gen. Bonifacym Jedynakiem, dyrektorem generalnym MSW, gen. Janem Słowikowskim, szefem wywiadu MSW, Kazimierzem Barcikowskim, członkiem BP, wicepremierem Józefem Tejchmą, no i oczywiście Józefem Czyrkim, ministrem spraw zagranicznych. O innych spotkaniach z różnymi osobistościami, choć nie tak świecznikowymi, już nie wspominam.

Od niektórych swoich rozmówców dowiedziałem się ze zdumieniem, że *żadnego* „buntu generalskiego” nie było! Przeciwnie, po cichu generałowie solidaryzowali się z listem „towarzyszy radzieckich”, a tylko tworzyli pozory czegoś odwrotnego.

Co się zaś tyczy możliwości wprowadzenia „stanu wojennego” w kraju, sprawy dla mnie najważniejszej, to *niczego* konkretnego nie dowiedziałem się. Jedni mówili, że go nie będzie, a inni byli odwrotnego zdania. Najczęściej - jak to już wspominałem powyżej - wszyscy wykręcali się od jasnej odpowiedzi, sami pewnie nie wiedząc jak z tym „stanem wojennym” miało być.

Polska zrobiła na mnie wtedy przynębiające wrażenie. Mimo lata, ludzie byli bladzi, zaganiani za zakupami, gdyż półki świeciły pustkami, miasto było brudne i choć jeszcze nie dochodziło do wystąpień protestacyjnych, to jednak wyczuwało się je w powietrzu.

I tak, nie mając żadnej jasności co do najbliższej przyszłości Polski, zacząłem zbierać się do powrotu do Japonii. Wpadłem jeszcze na krótko do Końskich, spotkać się z obu mamami i naszym psiakiem, Toofym, po którego Niunia miała wkrótce przylecieć, żeby go zabrać do Tokio.

Odlatując 3 lipca 1981 r. po południu via Moskwa do Tokio, miałem dziwne wrażenie, że do Polski już nie powrócę...

Na koniec, nie mogę nie podzielić się inną refleksją, z którą noszę się od lat, ale jakoś

nigdy nie zdobyłem się na przelanie jej na papier.

Nigdy nie miałem i nadal nie mam wątpliwości, że władze PRL były *podporządkowane* władzom ZSRR. Różnie z tym bywało w zależności od poszczególnych członów władzy i od ich szczebla, tak jak od różnych okresów. Co innego było bowiem za życia Stalina, a co innego za Breżniewa czy Gorbaczowa. Podporządkowanie to było truizmem i nawet jakby *naturalnym* zjawiskiem. ZSRR był przecież supermocarstwem, a KPZR miała najdłuższe doświadczenia w rządzeniu krajem. Nie bez znaczenia był też fakt, że ZSRR był najbardziej ludnym we „wspólnocie socjalistycznej” krajem i obszarowo największym. Jego potencjał gospodarczy był również największy, a na dodatek rozporządzał niemal nieograniczonymi bogactwami naturalnymi. A jeśli jeszcze do tego dodać stacjonowanie jego wojsk w niektórych krajach „wspólnoty”, jak w NRD, w Polsce, na Węgrzech i, po sierpniu 1968 r., także w Czechosłowacji, to „układ podporządkowania” wyglądał nawet na logiczny. Na Zachodzie też z grubsza było podobnie. USA były główną jego twierdzą.

Na Wschodzie jednak, z tego „układu podporządkowania” wynikały określone konsekwencje, nie mające swojego odpowiednika na Zachodzie. Pomijając już szczególną sytuację w „siłowych resortach” (pewnym wyjątkiem była tu Rumunia), gdzie „układ podporządkowania” był precyzyjnie zbudowany, również cywilna część władzy była ujęta w karby (aczkolwiek na oko mniej rygorystycznie od wojskowo-policyjnej).

Formalnie, najwyższą na co dzień władzą we wszystkich tzw. krajach wspólnoty było Biuro Polityczne rządzącej partii komunistycznej. Trzymanie przez Moskwę „bratnich BP” pod ścisłą kontrolą nie należało teoretycznie do łatwych, ale w praktyce działało sprawnie. Brało się to stąd, że Moskwa miała nieograniczone możliwości w niedopuszczaniu do powstania *jedności* w „bratnim BP”. Niezwykle misternie i skutecznie tworzyła mniej lub więcej jawne frakcje, koterie, czy po prostu wzajemne antypatie, które próby jedności „bratniego BP”, jeśli takie byłyby, niszczyły w zarodku.

W Polsce końca lat 1970-ch i początku lat 1980-ch, nie sięgając już dalej w przeszłość, rozbitcie wewnętrzne BP, częściowo już wspomniane powyżej, miało szczególnie *destrukcyjny* charakter. Moskwie przyszło to tym łatwiej, gdyż udało się jej nastawić Jaruzelskiego na Gierka

(o innych, też podobnie nastawionych, już nie wspominam). Na ile zaś przedtem nastawiła Gierka na Jaruzelskiego - jest już mniej pewne. Z własnych obserwacji mogę powiedzieć, że Gierek *nie darzył* Jaruzelskiego sympatią, choć nie wiem, dlaczego. Natomiast więcej wiadomo, dlaczego Jaruzelski mógł nie darzyć Gierka sympatią.

Jak bowiem pisze o tym wspomniany już Kostikow, radzieckim marszałom zależało na awansowaniu Jaruzelskiego do stopnia marszałka Polski. Czy tak było naprawdę można wątpić, ale jeśli nawet, to nikt nie słyszał, żeby Breżniew wywierał na Gierka naciski w tym kierunku (gdyby było to prawdą, to Jaruzelski w try miga zostałby marszałkiem).

Dlatego też było *niewybaczalnym* błędem Gierka wdanie się w rozmowę z Kostikowem na temat promocji Jaruzelskiego. Pomijając już fakt, że Kostikow był tylko funkcjonariuszem średniego szczebla w KC KPZR i że *nie z nim* Gierek powinien dyskutować sprawy personalne członków polskiego BP, to już zupełną nieostrożnością z jego strony było kategoryczne sprzeciwianie się promocji Jaruzelskiego i nazywanie go w dodatku „gównem”! Wierzył, że Kostikow nie doniesie tego Jaruzelskiemu? Po co mu było robić z siebie wroga Jaruzelskiego? Wiadomo przecież jaką rolę odegrały w „lipcowym preludium” zakłady zbrojeniowe, WSK Mielec i WSK Świdnik, czy koleje w DOKP Lublin, miejsca silnie spenetrowane przez Wojskową Służbę Wewnętrzną, a ściślej jej kontrwywiad wojskowy. WSW zaś - dodajmy - podlegała bezpośrednio Jaruzelskiemu (Z-II, wywiad wojskowy, podlegał szefowi Sztabu Generalnego). Jaruzelski, obrażony na Gierka, mógł więc dla zmylenia jego czujności (jeśli Gierek ją w ogóle miał) wyjechać sobie do Suchumi na urlop, a jego zaufany szef WSW, gen. Czesław Kiszczak, dopilnował wszystkiego, tak aby fala strajkowa ruszyła.

Gierek, oczywiście, swojego losu i tak nie uniknąłby, jeśli takie było życzenie Moskwy, ale po co *ułatwił* jej zadanie obrażaniem Jaruzelskiego? A może Jaruzelski nie dopuściłby do tego, żeby Gierek tak beznadziejnie głupio wyłożył się latem 1980 r.? Był on od Gierka wielokrotnie inteligentniejszy i miał *autentyczną* władzę jako minister obrony narodowej. Gierek zaś miał władzę tylko pozorowaną.

Zupełnie już *nie można* wybaczyć Gierkowi jego zachowania się w „stanie wojennym”. Wyrzucony z partii i internowany przez Jaruzelskiego, napisał do niego wiernopoddańczy list

pisząc, że ...*popierał* „stan wojenny”! Napisał do „gówna” i poparł zbrodnię?

A „gówno”, o dziwo, nie tylko ze swojej zbrodni *nigdy* nie tłumaczyło się, ale jeszcze zaczęło kreować się na zbawcę Polski, kładąc 13 grudnia 1981 r. kres jej „destrukcji przez siły ekstremalne”! Prawdę mówiąc, w tym zbawczym kreowaniu się pomógł mu też Zachód. Brytyjska premier Margaret Thatcher nie tylko skorzystała z zaproszenia Jaruzelskiego do odwiedzenia Polski w listopadzie 1988 r., ale jeszcze autentycznie wpadła w zachwyt nad jego osobą! W nie mniejszy zachwyt wpadł też amerykański prezydent George Bush senior, kiedy w lipcu 1989 r. odwiedził Polskę. Wydawało mu się nawet - o naiwności ludzka! - że goszcząc Jaruzelskiego i przedstawicieli *Solidarności* w ambasadzie USA w Warszawie, ostatecznie pogodził ich... Zachwyt Busha nad Jaruzelskim był tak wielki, że zaprosił go nawet do złożenia wizyty w USA. I gdyby Jaruzelski w międzyczasie nie zrezygnował ze swojego stanowiska, to odwiedziłby USA jako prezydent „nowej Polski”! Ba, nawet b. prezydent Ronald Reagan, ongiś jakoby zawścieczony na Jaruzelskiego, kiedy we wrześniu 1990 r. był w Warszawie z prywatną wizytą, to na swoją prośbę zapragnął spotkać się z Jaruzelskim. W czasie tego spotkania Reagan przeprosił Jaruzelskiego za swoją *falszywą* ocenę jego osoby w przeszłości...

Nic więc dziwnego, że wielu Polaków, biorąc przykład z Zachodu, postępuje podobnie, jak wspomniany już historyk prof. Andrzej Paczkowski, czyniący z Jaruzelskiego „zbawcę Polski”. Dwoi się on i troi jak tu *wybielić* Jaruzelskiego! Wojska radzieckie chciały wkroczyć do Polski (tak, jakby dotąd ich tam dotąd nie było), ale oto Jaruzelski je ubiegł i pierwszy wkroczył! Co za geniusz, wyprowadził w pole wszystkich radzieckich „marszałów”!

Ale czy naprawdę „marszały” chciały wchodzić? Paczkowski *żadnych* dowodów na to nie przedstawił. Po co zresztą mieliby wchodzić? Nie mieli wątpliwości, że jak będzie trzeba, to Jaruzelski wejdzie za nich!

Ale Jaruzelski może jakoś i *mógłby* tak czy inaczej zawieść „marszałów”, gdyby nie miał osobistych uraz do Gierka. Mógł podać się do dymisji, albo nawet ... strzelić sobie w łeb! Byłby nie pierwszym i ostatnim w historii, którzy na taki krok porywali się w obliczu wyższej konieczności. Wolał jednak zawałczyć z Narodem, niż sam ze sobą. Hańba mu za to!

Prawda, „stan wojenny” w dziejach martyrologii polskiej zajmuje dalekie miejsce.

Encyklopedia Powszechna PWN z 1996 r. ilość jego śmiertelnych ofiar podaje na „kilkadziesiąt osób”. Drobnostka, Polska w swojej historii nie takie ponosiła ofiary!

Ale fakt pozostaje faktem, że Jaruzelski przejdzie do historii, albo *powinien* przejść, gdyż ocena jego osoby zaczyna się ostatnio gmatwać, jako *agresor* w rozpętanej przez siebie wojnie polsko-polskiej, pierwszej tego rodzaju w polskich dziejach. I nie ilość ofiar jest tu najważniejsza, ale fakt, że wojna taką w ogóle była!

A dziś, zamiast odkryć wszystkie tajemnice i dać przyszłym pokoleniom Polaków *prawdziwy* obraz panującej sytuacji w kraju przed i po Lecie 80 Jaruzelski woli grać rolę męczennika, który ratował Naród!

Drugą postacią tego okresu, której ocena jest nie mniej, ale jeszcze więcej zagmatwana, jest Lech Wałęsa. Jeśli istotnie był „Bolkim”, agentem SB (a może także KGB?), to jest on jeszcze *bardziej* obrzydliwą postacią od Jaruzelskiego. Nadal przecież nie wiemy *jaką* naprawdę odegrał rolę w strajku Gdańskiej Stoczni. Andrzej Gwiazda, wówczas przywódca WZZ, strajku takiego nie organizował, a Anna Walentynowicz, bohaterka tego strajku, nadal mówi o *zdradzieckiej* w nim roli Wałęsy. Wiadomo też, że Wałęsa, uzyskawszy 16 sierpnia 1980 r. od dyrekcji stoczni zadośćuczynienie żądań, strajk chciał zakończyć. I gdyby nie sprzeciw Aliny Pieńkowskiej i Henryki Krzywonos, delegatek do dopiero co utworzonego MKS, Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, innych strajkujących w Trójmieście zakładów, to może na tym byłby koniec Lata 80. Stało się jednak inaczej i Wałęsa zmienił zdanie.

Wezbrana nagle sierpniowa fala strajkowa zamiast opaść zaczęła się podnosić, grożąc nawet przerodzeniem się w strajk generalny. A może tak właśnie miało być? Gierek już co prawda został ściągnięty do Warszawy z krymskiego urlopu, ale do jego obalenia było jeszcze prawie trzy tygodnie. W tzw. siłowych resortach tymczasem zaczęto już przebąkiwać o „stanie wojennym”. Czy coś poszło nie według scenariusza czy może właśnie tak miało być od początku? Do dziś *nie jest* to jasne. Wałęsa sam dziś przecież przyznaje, że w czasie jego obecności w stoczni był w *stałym* kontakcie z esbekami! Nie zawiesił w końcu strajku w stoczni na własną odpowiedzialność czy może takie miał ich polecenie?

Na ten temat Wałęsa nie chce mówić i nikt go też o to nie pyta. Dlaczego?

Zdzisław M. Rurarz
[Niewydane pamiętniki]
Rozdział VII (listopad-grudzień 2005 r.)

No i teraz w świecie Wałęsa uchodzi nie tylko za bohatera narodowego Polski, ale także człowieka, który walnie przyczynił się do obalenia komunizmu w Europie i rozpadu ZSRR! Stąd nadal jest rozchwytywany na Zachodzie, biorąc ciężkie tysiące dolarów swoje „wykłady” (dawniej brał po 20-25 tys. dol.), w których sam siebie wynosi pod niebiosa...

Obrzydliwe! A może nie? Tak przecież zawsze rodziły się mity, religie, a w znacznym też stopniu historia!

Na tym kończę swoje refleksje na temat „stanu wojennego”, wydarzenia *najgłupszego* w polskich dziejach.

I aż wstyd mnie ogarnia, że mogłem paść ofiarą czegoś tak głupiego i nikczemnego...